

8 marca i tak dalej

11 marca 2010

W marcu dyskutuje się dużo o feminizmie.

Ze świętem, które jest do tego pretekstem, wspomnienia mam całkiem bogate. Najwcześniejsze pochodzą, o zgrozo jeszcze z minionego ustroju – całe szczęście, że chociaż ze szkoły, a nie z zakładu poważnej pracy. 8 marca wypadało wręczać koleżankom kwiatki albo czekoladki. Jeżeli ktoś miał zadrażnienia z nauczycielką, to mógł je rozładować serdecznymi życzeniami z okazji kobiecego święta. Chyba żadna z adresatek tej celebry nie próbowała dać do zrozumienia, że nie czuje się nią uszczęśliwiona. A przecież zauważenie, iż demonstracyjne honory raz do roku każą wątpić, czy z równością na co dzień wszystko jest w porządku, nie wymagało nadzwyczajnego łamania głowy.

W dzienniku telewizyjnym – czyli ówczesnych „Faktach” TVN – oprócz rutynowego informowania o spuście surówki, gospodarskich wizytach Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza oraz dyplomatycznych triumfach Leonida Breżniewa – podkreślano, że socjalistyczni mężczyźni stanęli jak zwykle na wysokości zadania, wręczając kwiatki swoim Ewom. Nieco później te oficjalne deklamacje nabrały bardziej ponurych tonów. Generał swoim przemiłym głosem pochylał się z troską nad polskimi kobietami, obiecując im już niedługie ukończenie pomnikowego Centrum Zdrowia Matki-Polki. A propos 8 marca nie warto jednak pastwić się przesadnie nad PRL. Ówczesny system, pożegnawszy się z ambicjami rewolucyjnego przeobrażania świata, zawarł kompromis z tradycyjną obyczajowością polskiego społeczeństwa. Eksponując na tyle stare, że mało kogo obchodzące święto ruchu robotniczego, pozwalał brzydszej połowie narodu odgrywać dzięki niemu szlacheckich dżentelmenów. Trochę to było zepsute biurokratycznym administrowaniem. Trudno też było przeoczyć, że święto kobiet przesłania przykrą okoliczność, iż sławetne problemy z

gospodarką niedoboru są obciążeniem w pierwszym rządzie dla gospodyń domowych. Ale ciastka z lampką wina pomimo wszystko smakowały. O molestowaniu seksualnym nikt jeszcze nie słyszał. Na jego niemiłe przejawy o tyle zresztą brakło miejsca, że w realiach pełnego zatrudnienia przełożony nie bardzo mógł zastraszać i szantażować swe podwładne. A staroświecka grzeczność, zachwyty nad urodą i zachęty do flirtu jakoś nie wywoływały spontanicznych protestów w imię zasad nieznanego jeszcze u nas feminizmu.

Gdy transformacja ruszyła, wszystkiego, co związane z PRL, zaczęto się wstydzić. W pewnej firmie dziennikarskiej zasłyszałem rozpaczliwe obawy jej szefa, który z Polską Ludową przebył wszystkie zakręty od roku 1948: Żeby tylko nasz prezes [jeszcze bardziej, o ile to możliwe, pobrudzony „komunizmem” niż szef] nie zorganizował nam święta kobiet... W dniu, w którym całowaniem w rękę popisywali się partyjni sekretarze, galanteria wobec dam przestała być w dobrym tonie.

Te przewartościowania w świątecznym kalendarzu znalazły swoich ideologów. Powiadali oni, że wielodzietna rodzina, gdzie mąż zarabia pieniądze, a żona troszczy się o czystość pociech, podłóg i firanek, jest tworem równie naturalnym jak – nie szukając daleko – gospodarka wolnorynkowa. Z tym darem opatrności próbowała walczyć modernizacja (trudno w to dziś uwierzyć, ale kiedyś to modne słówko kojarzyło się w żargonie publicystycznych rzeczników ducha czasu niewiele lepiej niż „Czarny Piotruś” albo nawet „Belzebub”). A już my – dodawano – doskonale wiemy, jakimi metodami narzucano Polsce niepotrzebne i niechciane nowinki. Sowieci okupowali, a komuniści mordowali, ot co!

Modernizacja, w jej wariancie najpotworniejszym, bo totalitarnym i pochodzącym ze Wschodu, skompromitowała się i przegrała. Wcale to nas jednak nie uratowało przed chirurgiczną operacją w celu wymuszonego unowocześnienia. Swymi ośmiorniczymi mackami oplata nas bowiem Unia Europejska. A tam nie od dziś – co najmniej od roku 1968 – szaleją

wychowankowie Lukacsa, Gramsciego i szkoły frankfurckiej. Ci komuniści zza akademickiej katedry też by najchętniej mordowali kropka w kropkę tak, jak ich towarzysze z Sojuza. Amerykanie, dzięki Bogu, nie dali im jednak posunąć się aż tak daleko. Straszą więc z medialnego okienka, nawołując – i to, co gorsza, nie bez powodzenia – żony i dzieci do buntowania się przeciw głowie rodziny. Czerwone diabły ze starej Europy – podsumowywała mądra głowa z gazety „Życie” – i u nas mają swoich przyjaciół i fanów. Panowie bracia, uważajcie na nich!

Do tego szatańskiego grona zaliczono również powoli raczkujący polski feminizm. Żeby się z nim solidaryzować, skłaniał w tej sytuacji chociażby zdrowy odruch przekory. Ale nie tylko on. W pierwszej dekadzie III RP wydawało się, iż konserwa obyczajowo-światopoglądowa służy do ochrony transformacji gospodarczej. Czy nie dlatego aborcji zakazano mniej więcej w tym samym czasie, w którym ruszyła pełną parą likwidacja postpeerelowskiego przemysłu?

Jednakże, woda w Wiśle płynie. Szkoda, że upierają się tego nie dostrzegać publicyści wszystkich możliwych opcji, którzy co roku – koło Wielkiej Nocy albo i święta kobiet – powtarzają dokładnie tak samo brzmiące przesłanie. Okazuje się zatem, iż napór prawicy antykomunistycznej, konserwatywnej i wracającej do narodowych korzeni chyba definitywnie wygasł. Lewicy – rzecz ciekawa – nie pomogło to się odrodzić. Dowodem, jednym z wielu – losy 8 marca. Z oficjalnym dniem kobiet nie rozprawiono się w ramach sprzątania ruin po PRL. Przetrwał on mniej więcej z tych samych powodów, dla których Pałac Kultury stoi, a Jaruzelski nie siedzi. Architekci transformacji, zajęci przeprowadzaniem jej w bazie, nie chcieli przesadzać w sferze nadbudowy.

Dlaczego jednak lewica nowoczesna nie organizuje swoich manif w urodziny zawołanej pogromczynie represyjnych podziałów genderowych, Judith Butler? Albo w rocznicę wywalczenia sobie praw reprodukcyjnych przez kobiety jednego z bardziej od naszego postępowych krajów europejskich? Oczywiście, można

argumentować, że tradycja i przykład ze świata, Międzynarodówka, Klara Zetkin i siostry zza Odry... Niestety, głębiej leżąca prawda stwierdza, iż bez nawiązania do jeszcze jako tako pamiętanego peerelowskiego honorowania kobiet, feministyczne demonstracje zawisłyby w próżni. Mało kto by wiedział, czemu coś takiego się odbywa i z czym się to je.

Nowoczesny lewicowiec chętnie oddaliłby się od PRL na bezpieczny dystans. Pod tym warunkiem mógłby ze spokojną głową pójść na panel, gdzie wskazałby swoim kolegom z prawicy, że również te nie ulubiane czasy jakoś tam przyczyniły się do – obecnie już przez wszystkich postulowanej i chwalonej – modernizacji tego kraju. Niestety chce jednak, iż po nieuchronnie się zbliżającym wyludnieniu rezerwatu dla nostalgików PRL, nie będziemy mieć nawet takiej, dysponującej ledwie kilkudziesięcioosobowym klubem parlamentarnym, bieda-lewicy, jak teraz. A wówczas zdobywanie zaproszeń na debaty zacznie przychodzić ciężko i tym lewicowym intelektualistom, którzy solidnie pracowali nad sobą, odrabiając lekcje z Butler.

Czy wszakże feminizmowi – i to zwłaszcza lewicowemu – nie powinny sprzyjać aktualne warunki? Przecież dyskryminacja obyczajowa i ekonomiczna idą podobno ręką w rękę, na równi dopiekając kobietom. Jak nie gorsza pozycja i dochody na rynku pracy, to przemoc domowa... Nie wiadomo, czego się bardziej bać i przed czym najpierw bronić.

Tyle, iż realny świat społeczny stał się trochę inny niż sądzą autorzy takich ocen. Weźmy emblemat naszego ruchu feministycznego, jakim jest aborcja. Rzec można, iż narodził się on w walce o utrzymanie prawa do legalnego zapobiegania narodzinom. Z początkiem minionej dekady, słynny apel przeciw zakazowi przerywania ciąży można było wspólnie z ponad milionem jego sygnatariuszy podpisać z czystym sumieniem. Jeśli płci tradycyjnie uważanej za słabszą jest gorzej na skutek redukcji zatrudnienia i zamykania przedsiębiorstw, to dlaczego miałoby się utrudniać jej (współ)życie w innej,

bardziej intymnej sferze?

Dziś temat aborcyjny jest medialnym wężem morskim, który wypływa najczęściej w marcu. Dlaczego nie spędza on snu z powiek uczestnikom jakiegoś względnie masowego ruchu? Nie tylko i może nie głównie z tego względu, iż ludzie pogrążyli się w apatycznym śnie, uznając, że niczego się nie da zmienić. Tak zwane wyzwolenie obyczajowe należy w istniejącym tu i teraz społeczeństwie – podobnie jak wszystkie pożądane wartości – do naturalnych konsekwencji awansu ekonomicznego. Przerwać ciążę można mniej więcej za taką samą (no, może nieznacznie większą) sumę, jaką kosztuje zmywarka. Kto zbierze pieniądze na drugą z tych inwestycji, da sobie radę i z pierwszą. A hasło, zgodnie z którym państwo powinno zapewnić akurat bezpłatną aborcję, straciło nośność razem z przekonaniem, że nadzieje na poprawę swojego osobistego losu można wiązać ze zmianami w politycznym układzie sił.

Ciekawsze rzeczy od aktualnie dyżurujących obrońców życia bądź wolnego wyboru mówi nieoczekiwanie Ernest Hemingway. W jego opowiadaniu „Wzgórza jak białe słońce”, on i ona (zdaje się, iż powinno się to pisać na odwrót) czekają na pociąg, który ma ich przewieźć do miasta, gdzie obok innych spraw i sprawunków planują załatwić wiadomy zabieg. Interesujące, iż pewne niepokoje w związku z nim odczuwa osoba, której podobno przyniesie on wolność. Jej partner jest w pełni tolerancyjny: „Nie chcę – zastrzega – żebyś robiła coś, na co nie masz ochoty”. Ona jeszcze przez chwilę narzeka nie bardzo wiadomo, na co, lecz po chwili bierze się w garść: „Czuję się świetnie. – odpowiedziała – Nic mi nie brakuje. Czuję się świetnie”.

Takiemu to przymusowi – żeby czuć się świetnie podczas adaptowania do obiektywnych uwarunkowań – przede wszystkim dzisiaj podlegamy. Jak wiadomo, kiedy „nie ma miedzi”, wówczas pewna część ciała grzecznie „siedzi” w domu. Mechanizm z przywołanego wierszyka działa o tyle uniwersalnie, że czasem potrafi wymusić aborcję. I skłonić do łatwego przeoczenia, że to jednak dosyć trudno odróżnić, kiedy osobnik jest tylko

zygotą, odkąd zaś staje się człowiekiem z całym pakietem nowoczesnych praw i swobód.

Teraz to zabrzmi śmiesznie, ale zaglądając do pierwszych na miejscowym gruncie feministycznych publikacji i antologii, spodziewałem się tam oporu przeciw wspomnianemu „czuciu się świetnie” i stojącej za nim presji. Tymczasem polski feminizm oswoił się i ustatkował, zanim coś wywalczył. Mediałni dyrygenci opinii już go nie gromią (jak za czasów, kiedy Tomasz Wołek wysuwał się na czoło niezłomnych prawicowców), tylko zapraszają z otwartymi rękami. Nie możemy przecież być gorsi od krajów starej Europy. Skoro tam są feministki, to i my musimy sobie wyhodować ich szczep.

Typowa polska feministka posiada szereg cech – łagodnie mówiąc – średnio sympatycznych. Z argumentami wynikającymi z opowiadania Hemingwaya w ogóle nie będzie dyskutować, tylko zwymyśla go od macho i doda, że teraz czyta się „Derwisz” Chutnik. Wewnątrz swojego ruchu wymienia myśli tak, że zamiast nich poręczniej byłoby używać znaczków (Środa w środę – duży +, Semka w sobotę – a fe! Jeszcze większy minus!). Fanatyzm i sekciarstwo nie muszą być jednak czymś złym. Może przydałyby się one do poruszenia realiów ukazanych w Hemingwayowskich „Wzgórzach...”?

Tyle, iż nasz feminizm dawno zostawił za sobą fazę bojowości. Właściwie to nigdy jej nie przebył. Jego stacje męczeńskie (pierwsze manify, o których źle pisano w tygodniku „Wprost”, białe miasteczko itd.) mają wymiar teatralny.

Na zinstytucjonalizowanie się ruchu feministycznego nie należałoby się skarżyć, gdyby zaliczało się ono do niezbędnych kosztów poważnego oddziaływania na rzeczywistość. Skoro jednak szczytowym osiągnięciem manifowych działaczek, publicystek i teoretyczek jest debata o formalnych parytetach na listach wyborczych?

W sumie, feminizm jest napojem energetycznym (bo nawet nie

miękkim dragiem), którym terapeuci polskiej opinii publicznej rozładowują nudę płynącą z tak totalnego, że aż obłędnego ucentrowienia wszystkich opcji. Potwór, którym straszono dzieci unijno-eseldowskie, sam Jarosław Kaczyński, został ostatnio spóźnionym o wiele lat agentem reklamowym wycieczek na plaże egipskie i tunezyjskie. Rybą na bezrybiu są więc manify, wszechpolskie kontrademonstracje i wreszcie awantury o życie oraz prawa reprodukcyjne.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)